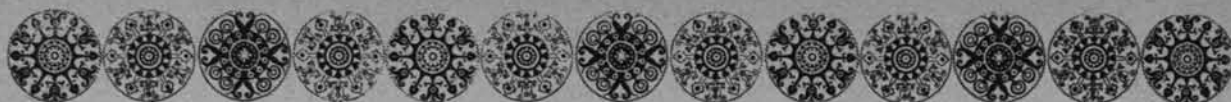


Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



32. BAGNO POLESKIE (pow. zwiąhelski)

fol. M. Wisznicki.



Soboty i sobótki. ³⁾

Nie może więc ulegać żadnej wątpliwości, że nabożeństwa słowiańskie odbywały się na dziedzińcu świątyni, przed samą świątynią, a jeżeli to był gaj, jak opisany P r o w e g o, to przed świętymi drzewami, które, jak wiemy, były otoczone parkanem i zastępowały niejako kaplicę. Najwyższy kapłan ze swymi pomocnikami zajmował miejsce przy świątyni, przed jej drzwiami, lud od strony ogrodzenia zewnętrznego. Tu na dziedzińcu świątyni składano ofiary i tutaj też odprawiano uczty, które, podobnie jak u greków i rzymian, stanowiły nieodłączną część nabożeństwa po złożonych ofiarach. Zachodzi tylko pytanie, czy kapłani spełniali obrządki religijne pod gołem niebem i czy te uczty odbywały się także pod gołem niebem, czy też były jakieś schroniska tak dla kapłanów, sprawujących święte obrządki, jak i dla ludu, kiedy ucztowali?

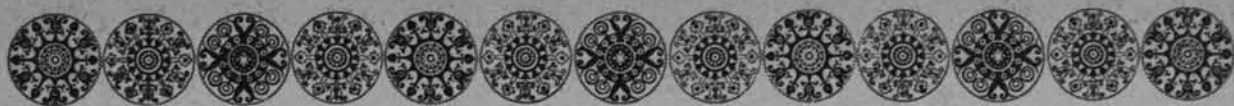
Gdyby na dziedzińcu świątyni były jakie budowle, ku temu celowi służące, myślimy, że byłiby opisujący świątynie słowiańskie, niewątpliwie o tem wspomnieli, boć to od razu byłoby się im rzucało w oczy, a tymczasem ani jeden z opisów świątyń najmniejszym nawet słowem o tem nie wspomina, z czego wynika, że nic takiego tutaj nie napotymano. Z drugiej znowu strony niepodobna przypuścić, żeby dla kapłanów, spełniających obrządki religijne, i dla ludu, kiedy przystępował bezpośrednio do obrzędów religijnych, do jakich należała uczta i zabawa religijna po złożeniu ofiar, nie było żadnego schronienia, choćby tylko na wypadek niepogody; a wiadomo przecież, że obrzędy religijne mają formy ściśle określone, więc i w tym wypadku musiały być jakieś przepisy, które określały raz na zawsze, co i jak się miało odbywać, a ze względu na niepewność pogody w naszym klimacie należy raczej przypuścić jakieś postanowienie co do schronienia, aniżeli brak jego.

Jak sobie z tem radzono u nas, świadectw wprost, o ile mi wiadomo, nie posiadamy, ale wiemy, jak się to działo u germanów, a chyba u nas nie było i nie mogło być inaczej. Tem ważnem obcem świadectwem jest autentyczny list Grzegorza W. papieża, pisany r. 591 na ręce Melita, zdążającego z towarzyszami w pomoc św. Augustynowi, apostołowi Anglii, w którym do liście czytamy: „Powiedz Augustynowi, iżem długo myślał o Anglii, i to mi się zda, aby bożnic pogańskich i bałwochwalskich nie obalali, ale je poświęciwszy i wodą święconą pokropiwszy, na kościoły obracali; ołtarze w nich porobili i kości świętych położyli. Bo tak poganie

widząc, iż się bożnice ich nie psują, rychlej do nich ze zwyczaju pójdą, błąd swój poznawszy i z serca złożywszy, Boga poznają. A iż woły na swe święta poganie bogom swym zabijali: i to się im niech nie odejmuje, ale niechaj się na dobre obróci. Przetoż na święta poświęcenia kościoła i na dzień św. męczenników, których tam kości są, niechaj sobie przybożnicach swych, na Kościoły Boże obróconych budki stawiają z chrustu i biją owobydło — nie na cześć dyabłom, ale na chwałę Bożą i na swoją potrzebę, dziękując P. Bogu temu, co wszystko daje, za owo nasycenie; bo twardym sercom niepodobna wszystkiego naraz odjąć, jako na górę idąc, nie zaraz wzlecić, ale pomału postępować trzeba. Tak też P. Bóg ludowi się izraelickiemu w Egipcie, gdzie dyabłom ofiary czynili, oznajmiwszy, ofiar im owych bydłęcych nie odjął, ale je na swoją cześć obrócił, aby odmieniwszy serce przy onych ofiarach bydłęcych jednej rzeczy zapomnieli, a przy drugiej się zostali, żeby też bydło mając, nie dyabłom je, ale Bogu prawemu zabijając ofiarowali”. ¹⁾

Anglo-Sasowie tedy przy świątyniach swych żadnych podcieni nie mieli, a odbywając nabożeństwa i składając ofiary, stawiali sobie przy nich budy z chróstu czy innego materiału. I tak samo też musiało być u nas. Z wiekami tylko mogły i musiały powstać pewne udogodnienia. Trudno bowiem było tym, co przyjechali zdaleka, szukać gdzieś lasu i odpowiedniego na budy materiału, ścinać to dopiero, znosić i budować. W takiej Arkonie, w Szczecinie lub w Retrze dość trudno nawet to przypuścić, a i w gaju Prowego także, gdyż gaju świętego chyba nie tykano, innego zaś lasu w okolicy nie było. Więc dla kapłanów (i sędziów w razie odbywania sądów) rozbijano zapewne w stronie świątyni namioty, przed którymi, gdzieś na środku dziedzińca ustawiano ołtarz (o stałym ołtarzu lub jego burzeniu przy zaprowadzaniu chrześcijaństwa niema nigdzie żadnej wzmianki), co do ludu zaś trzeba przyjąć w takich miejscowościach jedno z dwojga: albo każdy ze sobą przynosił jakąś budę, którą przybywszy rozbijał, albo też świątynia rozporządzała pewną ilością gotowych budek czy namiotów, które przed uroczystością w stosownych miejscach na dziedzińcu świątyni stawiano i stronom za pewną opłatą na rzecz świą-

¹⁾ Piotr Skarga. Żywoty Świętych (1889) VI. 68—69. Tekst łaciński u Lelewela. Polska wieków średnich I. 436.



tyni odstępywano. Ponieważ pierwsza okoliczność mniej jest prawdopodobna ¹⁾, więc trzeba przyjąć drugą, tę mianowicie, że gotowy materiał (jeżeli nie namioty) był na składzie przy świątyni, i skoro nadchodziła uroczystość, służba kapłańska stawiała z niego odpowiednie schroniska, i to zapewne przy parkanie zewnętrznym na dziedzińcu świątyni.

Było to niewątpliwie tylko nakrycie ze skór, kory drzewnej (łubu) lub desek, oparte o parkan i żerdzie, przytwierdzone do słupów, powbijanych w ziemię w pewnej odległości od parkanu. Przedziału między jedną a drugą budką może nawet z czasem i nie robiono, a ponieważ z przodu były niezawodnie otwarte, tworzyły się tym sposobem podcienia, w których siedzenia stanowiły zapewne lawy wzdłuż parkanu, oparte na jakich pniakach, a stoły deski, oparte na kozłach. Tu przy tym parkanie musieli kapłani mieć jakąś prowizoryczną szopę, w której zatrzymywano chwilowo i wieńczono bydło ofiarne, tudzież ubierano konia Ś w i ę t o w i t a w siodło i uzdę, gdy go do wróżby prowadzono. Saxo nawet wyraźnie wspomina, że konia tego wyprowadzano do wróżby *ex vestibulo*, przez co należy rozumieć właśnie taką szopę prowizoryczną, gdzie konia przybierano, a nie przedsionek świątyni, jakby się może komu wydawało. Szopę tę po dokonanej wróżbie lub ofierze, jak i owe podcienia po uroczystościach rozbierano, a materiał z nich składano albo w budynkach kapłańskich albo pod jakimś nakryciem przy tym samym parkanie na dziedzińcu świątyni. Prowizoryczne te podcienia, jeżeli były podcieniami, a nie prastarym zwyczajem osobnymi budkami, stawiano może nawet początkowo tak samo, jak u anglo-saxonów przy kościołach chrześcijańskich, a nazywano oczywiście tak, jak dawne budki, których były połączeniem; — pytanie tylko, jak je nazywano? Zanim jednak na pytanie to, nader ważne dla sprawy sobot, odpowiemy, powiedzmy jeszcze, dlaczego nie było przy naszych świątyniach stałych takich budek czy podcieni? Przyczyna tkwi w tem, że uroczystość taka, jak opisana wyżej, na którą zbierały się tłumy z całej prowincji, odbywała się, jak to Saxo wyraźnie zazna-

cza, tylko raz do roku. Wszystkie inne uroczystości były już tylko lokalne lub, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, parafialne, a z nich jedna tylko niezawodnie taka doroczna: uroczystość odnowy ognia (dzisiaj sobótki), kiedy ludność opuszczała zupełnie zwyczajne siedliska i co najmniej jeden dzień i jedną noc spędzała na miejscu świętem. Wtedy budki były także potrzebne, ale ludziom miejscowym nie było o nie trudno. Poza tem takich tłumnych nabożeństw nie było i być nawet przez dłuższą część roku (w czasie zimy, słotnej i zimnej jesieni i wiosny) w naszym klimacie nie mogło, a wobec tego na cóżby się zdały stałe podcienia? Odprawiano modły i składano ofiary naturalnie częściej i w zimie nawet, ale to byli ludzie miejscowi, lub, jakbyśmy dzisiaj powiedzieli, parafialni, którzy złożwszy przy świątyni ofiarę, wracali z ofiarnymi pożytkami do domu i tutaj dopiero, a nie na dziedzińcu świątyni, odprawiali ucztę. Ponieważ jednak narady w sprawach publicznych i sądy odbywały się w większych miejscowościach częściej, a musiały się odbywać na miejscu świętem, gdyż jak wierzono, przewodniczył im niewidzialnie najwyższy bóg, czynności zaś te wyprzedzała zawsze ofiara i wróżba i nieodłączna od ofiary uczta, otóż w takich miejscowościach musiały powstać oprócz świątyń, stałe na te cele na miejscu poświęconem schroniska, ale naturalnie w naszym klimacie nie budki lub podcienia, o jakich wyżej była mowa, lecz formalne domy, zabezpieczające nie tylko przed niepogodą, ale i przed zimnem. To przyczyna, że stałych budek czy podcieni koło naszych pogańskich świątyń nie było, i że natomiast w większych osadach powstały domy święte, o jakich dopiero co wspomnieliśmy, i o tych musimy szczegółowo pomówić, gdyż łączy się to właśnie ze sprawą nazwy owych prowizorycznych budek czy podcieni przy świątyniach.

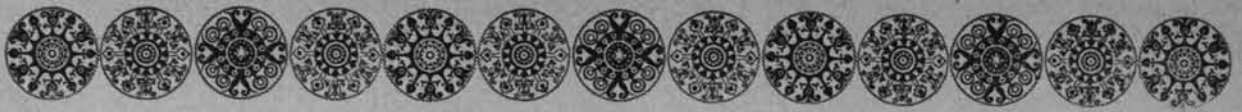
Mnich Herbord (1168) w żywocie Ottona bamberskiego rozpowiada (a dotyczą tej sprawy i inni żywociarze św. Ottona), że miasto Szczecin miało cztery świątynie. Na najwyższym wzgórzu miasta stała pierwszorzędną z nich i najwspanialszą „z nadzwyczajnym znawstwem i artyzmem zbudowaną”. Zewnątrz i wewnątrz miała rzeźby, wystające ze ścian obrazy ludzi i zwierząt, tak wybornie z ich właściwościami utracone, że wydawało się, iż żyją i oddychają.

(CDN)

S. Matusiak.

¹⁾ U nas nawet jeszcze w w. XIV wojsko w pochodzie, jak świadczą P r a w a Kazimierza i Wl. Jagielly (tłumaczenie z r. 1441) nie ma namiotów, lecz rąbie drzewo i stawia sobie s t a n y, a prawodawstwo zniewolone jest wydać postanowienia, żeby wobec tego właściciele lasów nie ponosili zbyt wielkiej szkody.





POMNIKI WARSZAWSKIE.

I.

Pomnik króla Zygmunta III Wazy na placu Zamkowym.

Pomnik ma kształt kolumny porządku korynckiego, podtrzymującej posąg i spoczywającej na piedestale. Posąg odlany z brązu, stoi na czworogrannym postumencie, który oddziela od kolumny granitowe belkowanie, składające się z architrawu i gzymsu. Kolumna, wyciosana z jednej bryły granitu, uwieńczona jest kapitelem brązowym i zakończona w spodzie bazą o członowaniach również brązowych. Granitowy piedestał zdobiony w górnej części orły oraz festony szpizowe; z czterech boków umieszczono tu tablice szpizowe z łacińskimi napisami, których tekst wraz z przekładem polskim przytaczamy poniżej. U stóp pomnika wznoszą się odlane z cynku i brązowane figury trytonów, a okala go balustrada żelazna.

Wysokość samego posągu na szczycie 2,84 metr., wysokość zaś całego pomnika — 22,72 metr.

Ten najdawniejszy pomnik Warszawy, którego wyniosła kolumna, stanowiąca początkowo złom krajowego marmuru (z kopalń checińskich), budziła zawsze słuszny podziw u swoich i obcych, wzniesiony został w r. 1644 przez króla Władysława IV i przetrwał w swej pierwotnej postaci niemal do schyłku XIX stulecia. Szczęśliwe to zaiste zrządzenie losu, gdyż oddalony zaledwie o 8 kroków od murów obronnych miasta, a 14 sążni od bramy krakowskiej (rozebranej w r. 1818), wystawiony był na silne działanie pocisków z dział i ręcznej broni podczas burz wojennych, jakie wstrząsały Warszawą w 1656, 1704 i 1794 r. Poważnie nadwyreżony wymagał napraw, które też uskuteczniiano za Augusta III (1743 r.) i za czasów księstwa Warszawskiego (1808 r.)

W późniejszym okresie prawie w ciągu 80 lat nie podejmowano znacniejszych robót konserwacyjnych. Tylko w 1854 roku, urządzając wodotrysk u stóp kolumny, wzmocniono podstawę pomnika i okolono go nowym ogrodzeniem, a przy wykonaniu tych robót natrafiono w głębi ziemi na szczątki urządzeń hydraulicznych z epoki Zygmunta III (1606 r.), które miały na celu zasilanie wodą zamku królewskiego z głównego systemu rur, jaki biegł ulicą Długą ku Staremu Miastu. Wreszcie nader oplakany w epoce popowstaniowej stan pomnika, na którym i wpływy atmosferyczne poczęły ryc głębokie ślady, skłonił obywateli do zabezpieczenia wspólnie z przedstawicielami miasta tego cennego zabytku naszej przeszłości drogą gruntownej już nie odnowy, lecz przebudowy, którą ukończono w r. 1887.

W onym czasie właśnie wszystkie części marmurowe pomnika zastąpiono granitowem, ale ściśle zachowano pierwotne jego wymiary, tudzież typ konstrukcyjny.

Autorem i wykonawcą całego architektonicznego projektu pomnika był budowniczy królewski Kon-

stanty Tenkała. Sama statua jest dziełem włoskiego rzeźbiarza Klemensa Molli, bolończyka, wykonana była z brązu przez nadwornego odlewника Daniela Tyma, o czym świadczy wyryty napis u spodu posągu:

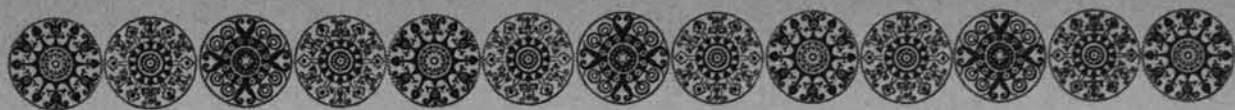
Clemens Mollus × Daniel Tym
Statuar. A. D. 1644. Fusor.

Figury trytonów wykonane zostały podczas wspomnianych robót koło urządzenia wodotrysku



POSĄG ZYGMUNTA III

fol. Zdzisław Marcinkowski.



PLAC ZYGMUNTA W WARSZAWIE

w r. 1854 według pomysłu rzeźbiarza niemieckiego Kissa.

Obszerniejsze wiadomości o pomniku, zwłaszcza historyczne, znaleźć można w dziele Aleksandra Wejnerta „Starożytności Warszawy” (tom IV.). Dzieło to zawiera wzmiankę o najdawniejszym wizerunku pomnika i jego budowy, wykonanym przez Augustyna Lukcyusza oraz nadwornego rytownika Wilhelma Hondiusza w r. 1646, a przechowywanym w galerii ks. Radziwiłłów w Nieborowie pod Łowiczem.

Od siebie dodamy, iż archiwum magistratu tu-tejszego posiada rysunek pomnika ($\frac{1}{10}$ wielkości naturalnej), sporządzony w r. 1885, tudzież siedem rysunków z 1864 roku: jeden z pomiędzy nich wy-braza widok ogólny ($\frac{1}{20}$ wielkości naturalnej), pozostałe zaś sześć rysunków—szczegóły konstrukcyjne.

NAPISY NA TABLICACH SPIŻOWYCH.

Ad occasum.

Sigismundus III

Liberis suffragiis

Poloniae

Haereditate, successione, jure

Sueciae Rex

Pacis studio gloriaque

Inter Reges primus

Bello et victoriis

Nemini secundus

Moschorum

Ducibus, metropoli, provinciis

Captis

Exercitibus profligatis

Smolensco recuperato
Turcica potentia
Ad Chocimum refracta
Quadragesima quatuor
annis

Regno mpensis
Quadragesimus quartus
Ipse in regia serie
Omnium aequavit
Aut junxit gloriam.

(O d z a c h o d u.

Zygmunt III

Z wolnej elekcyi

Król Polski

Z dziedzictwa,

następstwa, prawa]

Król Szwecyi

Przez miłość pokoju,

i [ławę

Między monarchiami

pierwszy

W wojnie i zwycię-

stwach

Nie ustępujący nikomu

Po zabranii

fol. Zd. Marcinkowski.

Wodzów, stolicy oraz prowincyi

Moskwy

Rozgromieniu jej wojsk

Odzyskaniu Smoleńska

Po skruszeniu pod Chocimem

Potęgi tureckiej

Czterdzieści cztery lata

Rządom poświęciwszy,

Będąc czterdziestym czwartym

w królów szeregu

Wszystkim w sławie dorównał

Albo jej przymnożył).

Ad orientem.

Sic coelo sic terris

Sigismundus III

Pietate insignis et armis

Geminae gloriae merito

Sese approbavit

Hinc gladium inde crucem

Tam forti quam pia manu

Tenet

Illo pugnavit

In hoc signo vicit

Sub hoc insigni vixit

Securus invictus felix

Nunc felicitate

Quam terris dedit

Gloriosus

Quam celo meruit

Beatus.

(O d w s c h o d u.

I w niebie i na ziemi

Zygmunt III



Nabożnością znamienity i orężem
W sówitej sławie słusznie
się utwierdził.

Tu miecz, tam krzyż
Równie mężną, jak nabożną dłonią
Dzierży.

Tamtym walczył
Z tem godłem zwyciężał,
Pod tem hasłem żył
Bezpieczny, niepokonany, szczęśliwy.

Ninie z pomyślności,
Jaką prowincjom zapewnił,
Wielbiony,

Na jaką w niebie zasłużył
Błogosławiony).

Ad septentrionem.

Non statua erigitur nec caeso gloria monte
Fulta Sigismundi mons erat ipse sibi.
Nec fulgorem auro, robur neque sumit ab aere
Auro fulgidior firmior aere fuit.

M. Daniel Trieme S. R. M.

Fusor Varsaviae fecit

A. D. 1644.

(O d p ó ł n o c y .

Nie przez kolumnę fundowana, ani na rąbanej skale
Wsparta sława Zygmunta, był on sam przez się wyżną.
Ni blasku od złota, ni twardizny nabiera od spiżu,
Był bo nad złoto jaśniejszy i trwalszy niż kruszec.

M. Daniel Thieme Jego Królewskiej Mości

Odlewnik w Warszawie udzielał

Roku Pańskiego 1644).

Ad meridiem.

Honori et pietati

Sacram

Statuam hanc

Sigismundo III

Vladislaus IV

Natura, amore, genio
Filius

Electione, serie, felicitate

Successor

Voto, animo, actu

Gratus

Patri Patriae

Parenti opt(ime) mer(ito)

Anno Dni MDCXLIII

Poni jussit

Cui jam

Gloria trophaeum

Posteritas gratitudinem

Aeternitas monumenta

Posuit aut debet.

(O d p o ł u d n i a .

Czci i przywiązaniu

Poświęconą

Kolumnę tę

Zygmuntowi III

Władysław IV

Z rodu, miłości, przymiotów

Syn,

Z obioru, porządku, szczęścia

Następca,

Ze ślubów, z uczucia i czynu

Wdzięczny

Ojcu Ojczyzny

Rodzicowi najlepiej zasłużonemu

Roku Pańskiego 1643

Wystawić rozkazał,

Któremu już

Sława wawrzyny

Potomni wdzięczność

Wiekistość pomniki

Ofiarowała albo jest winna.

Bolesław Ślaski.

□□□□□□□□□□

U ŹRÓDEŁ WISŁY. 9)



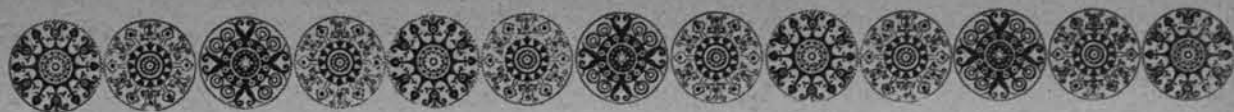
BACA I KOLIBA (szalas,

J. A. U. 1118.11

Na Czantoryę Wielką można zejść i wrócić do Wisły jednego dnia, a nawet, wyruszywszy rano o siódmej, wrócić na obiad do domu.

Zazwyczaj turyści tak się urządzają, że biorą dla oszczędzenia sił konie, którymi dojeżdżają do doliny Jawornickiej, skąd pieszo dostają się na szczyt.

Droga od Jawornika jest najłatwiejsza, bo nie tak stroma, jak od Ustronia. Trzeba minąć szkołę ludową, potem między chatami góralskimi wydostać się na ścieżkę, łagodnie podnoszącą się pod górę.



Ścieżka ta z początku nie jest oznaczona żadnymi znakami, dopiero potem, na znacznej wysokości, spostrzegamy znaki czerwone, prowadzące w kierunku południowym na Stożek Wielki.

☞ Droga na Czantoryę ma tę przykrą właściwość, że prowadzi prawie przez cały czas nie lasem ale pastwiskami i halami, przez co podróżny jest wystawiony w lecie na palące promienie słoneczne.

Dostawszy się nieco wyżej, spostrzegamy znaki czerwone, które już doprowadzają nas do szczytu, gdzie się znajduje schronisko, utrzymywane przez „Beskiden Verein”. W schronisku tem są Niemcy, ale dostać można jeść i pić za dość umiarkowaną cenę, zwłaszcza, że służba zna język polski dostatecznie. W książce też można zapisywać nazwiska po polsku. (Za wpisanie nazwiska płaci się 10 h.).

Widok z Czantoryi jest niezmiernie rozległy, zwłaszcza w kierunku północnym. Oko sięga bardzo daleko na równinę, rozpoczynającą się poza Ustroniem. Jeżeli powietrze jest przezroczyste, to dostrzegamy ku północy nie tylko blizki Ustron, ale Skoczów i okolice dalsze. Na południu rozlewa się pod naszymi nogami falisty Beskid, z którego wyskakują pod niebo wyższe szczyty: Cieśla, Stożek Wielki i t. d. Na południowy zachód mamy doliny rzeki Olzy, ku południowemu wschodowi oko zapuszcza się aż po Baranią. Na wschodzie zamykają widnokrąg: Magórka, Kosilec, Malinowska Skala, Malinów, i Klimczok. Ku półn. zachodowi w najbliższym sąsiedztwie leży pod nami Mała Czantorya, mierząca tylko sześćset i kilkanaście metrów.

Mieszkańcy Wisły uważają Czantoryę za rodzaj barometru; jeśli szczyt tonie w chmurach— „Czantorya w czapce”, jest to niezawodną oznaką deszczu i odwrotnie.

Liczą, że z Jawornika na szczyt trzeba poświęcić około trzech godzin czasu, na zejście drugie tyle, włączając zaś godzinę wypoczynku na wierzchołku, widzimy, że na całą wycieczkę wystarczy osiem godzin czasu. Dobrze jest kazać koniom czekać

w tem samym miejscu, skąd się wyruszyło, przez co nie męczymy się tak, jak gdybyśmy wracali aż do samego domu pieszo.

Wycieczka na górę Baranią i do „wykópów” Wisły. Nie wiem, czy się zdarzyło, żeby jakiś polak, bawiący przez kilka dni chociażby w Wiśle, nie zapragnął ujrzeć miejsca, gdzie się rodzi nasza kochana, szara Wisła, matka rzek polskich.

Miejsce to jest zarówno drogą dla nas wszystkich, jak ciekawą i piękną. Najładniejszy to niezawodnie zakątek na Śląsku. Nic więc dziwnego, że góra Barania stanowi cel wycieczek licznych turystów, nie tylko polaków, ale i Niemców.

Podróż „do wykópów”, tak bowiem nazywa lud tutejszy źródła, nie zabierze nam wiele czasu, ani też nie kosztuje wielkich trudów; łatwo ją uskuteczyć w dziesięć godzin, albo nawet i prędzej, jeżeli się ma dobre nogi, a zwłaszcza powóz do dyspozycji.

Zazwyczaj turyści urządzają się w następujący sposób: jadą końmi do Przysłupia, położonego u źródeł Czarnej Wiselki, stąd idą pieszo na szczyt Baraniej, stamtąd zaś podążają na

dół do wodospadów Białki, zwiedziwszy po drodze wykopy.

Można też zrobić tę wycieczkę w odwrotnym porządku, mianowicie dojechać końmi do wodospadów, stamtąd pieszo na szczyt Baraniej, do wykópów i do Przysłupia, skąd znów końmi, które obchodzą miejsce złączenia się dwóch Wiselek i czekają na nas przy domku myśliwskim.

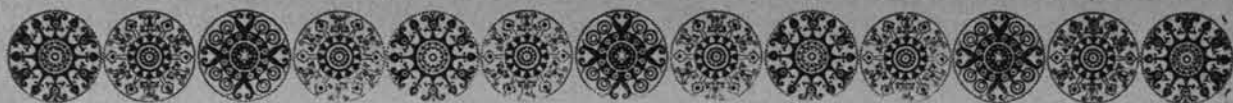
Przypuśćmy, że obrano drogę pierwszą, ze względu na to, że wyżej dojeżdża się końmi, mniej się pnie pod górę, a więcej schodzi w przepiękną dolinę Białki.

Siadamy do powozu i jedziemy w górę Wisły połączonej, a jej główną doliną, po dobrej stronie. U wylotu malowniczej doliny Dziechcińskiej, po moście przepławiamy się na prawy brzeg rzeki i koło stoków Jarzembatej i pięknej willi „Koliby”, jak najprędzej idziemy po równej jeszcze drodze, żeby zyskać na czasie. Mijamy charakterystyczne



WISELKA POWYŻEJ USTRONIA

fol. W Umiński.



CZANTORYA W CHMURACH PO DESZCZU

fol. W. Umiński.

chaty góralskie przeważnie jeszcze „kurne”, przyozdobione „okapami” i krytymi gankami, zbliżając się do góry Smrekowa, która rozsiadła się tak blisko Wisły, że szosa musi przeskoczyć na lewy brzeg. Oto już ujście pięknej doliny Malinki, przerniętej potokiem, grupa chat góralskich, karczma i sklepik. Tutaj znowu przeprawiamy się na brzeg prawy. Wisła niebawem zaczyna płynąć coraz węższym korytem, skacząc po progach, których tutaj jest kilka. Spienione fale toczą się hałaśliwie pomiędzy dwoma prostopadłymi brzegami skalistymi, po wielkich głazach. Jest to t. zw. „Ciasna Cieśnia”. Po prawej stronie mamy skłony Koziońca, mierzącego 775 m. wysokości, po lewej zaś rozsiadł się Cieńków, cokolwiek od niego niższy. Oba porosłe gęstym lasem iglastym nadają krajobrazowi surowy charakter.

O 1½ km. za „Cieśnią” widzimy ładny domek parterowy, z okratowanymi oknami, z konduktorami na dachu, otoczony ogródkiem, pełnym kwiatów. Jest to leśniczówka, miejsce pobytu nadleśniczego arekksiążęcych lasów w Wiśle. Kilkaset kroków niżej znajduje się budynek niepozorny, a jednak ważny — pstrągarnia.

Tutaj wywodzą zarybek cenionego i smacznego pstrąga i rok rocznie około pół miliona tych ryb wpuszczają do Wisły.

Wody należą dawnym prawem do arekksięcia; góralom poławiać pstrągów nie pozwalają, naznaczając za przekroczenie tego prawa dość znaczne kary; pomimo to górale po cichu łapią ryby. Trzymają się te ryby tylko wód górskich, bystrych; poza

Ustroniem, gdzie Wisła wpływa na równiny, niemasz już ich wcale.

Zbliżamy się do miejsca ważnego dla geografów, gdzie padają sobie w objęcia dwie rodzone siostry: Białka z Czarnochą, t. j. Biała Wisielka z Czarną.

Poza mostem, którym przejeżdżamy znów na prawo, w miejscu zlania się dwóch Wisielek zatrzymujemy się na chwilę, ażeby nacieszyć się pięknym krajobrazem.

Z punktu tego rozchodzą się trzy doliny: za nami le-

ży szeroka dolina połączonych Wisielek, w kierunku południowo-wschodnim otwiera się dolina Czarnej Wisły, na lewo zaś ku wschodowi, szeroka u wylotu, ale wązka dalej, dolina Białki którą będziemy przebywali przy końcu naszej wycieczki. W widłach rozsiadł się grań Czarny, sięgający lasiem czołem do wysokości 958 metrów. Na zboczach tej góry dostrzegamy chaty góralskie, u podnóża zaś ładny budynek; to wzorowo budowana szkoła ludowa, jak głosi napis w języku polskim, ze swym kierownikiem bardzo czynnym i inteligentnym nauczycielem.

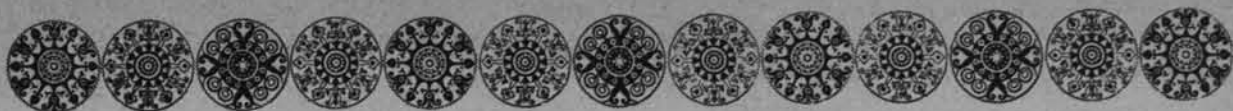
Nad Białką ku północy spuszcza się w dolinę góra Cieńków (720 m.), od południowego zachodu zaś zasłania nam kawał nieba góra Głębiec.

Wszystkie te szczyty, zamykające dolinę, czynią krajobraz prawdziwie uroczym.

Wysiadamy z powozu, żeby stanąć w punkcie złączenia się Wisielek i przekonać się, czy to prawda, co mówią o nich nazwy.

Lud utrzymuje, że wody Białki są jasne, czyste, jak kryształ, Czarna zaś Wisielka toczy fale brunatnawe.

Jednakże w tem miejscu różnica pomiędzy barwami obu strumieni jest jeszcze niedostrzegalna. Dopiero powyżej jadąc brzegami Czarnej, możemy stwierdzić, że ma ona podłoże z wielkich brunatnych odłamów skalnych, pokrytych rdzawymi i czerwonymi mchami i porostami. Obecność tych głazów w korycie nadaje istotnie wodom charakter ciemniejszy, aniżeli zwykle. Stąd zapewne poszło mniemanie, że woda w Czarnej jest czarna.



Jeżeli dawno nie padały deszcze, to strumienie w miejscu zlania się są tak wązkie, że z łatwością można przez każdy z nich po wystających kamieniach przeprowadzić się na drugą stronę; ciężiej dokonać tego poza węzłem, ale od biedy także można. Wisły mają w tem miejscu i wyżej charakter strumieni górskich, niepozornych w czasie długotrwałej, pogody ale zamieniających się po każdej nawałnicy w hałaśliwe, huczące, niszczące potoki. Ale nie można się tutaj

zbyt długo zatrzymywać, bo jest jeszcze kawał drogi do przebycia; wjeżdżamy w dolinę Czarnej Wisielki, której droga stopniowo, ale ciągle się podnosi. Spadek tutaj dość znaczny, to też wody kipią, szemrzają, gwarzą w kamienistym łożu wśród wielkich odłamów skał, leżących w poprzek strumienia. Niemasz już tutaj drobnych kamieni, szczątków rozdrobionej działaniem niepokojnych wód skały, ale bryły potężne, wygładzone skaczącą po nich od wieków falą, porośnięte barwnymi mchami i liszajcami. Szosa biegnie prawym brzegiem strumienia, na lewym widzimy stary, świerkowy las.

Wyniosłe drzewa, pochylone w zadumie nad iskrzącą się jak żywe srebro i jak ono ruchliwą falą, pamiętają dawne czasy.

Czekają, aż ich omszone pnie uderzy ostry ząb siekiery, odzywającej się przez cały rok w puszczy. Co chwila spotykamy wozy, prowadzone przez górali, w guniach brunatnych i okrągłych kapeluszach, ładowne ciężkimi, grubymi nieraz na metr pniami jodłowymi lub świerkowymi.

Miejscami stoki gór obniżają się, na miejscu starych świerków pozostają pieńki, wyciągające rozpaczliwie w górę połamane korzenie. Od takich cmentarzysk odwracamy ze smutkiem oczy.

Lasu jednak pozostało wszędzie wiele; idziemy ciągle wzdłuż zielonych murów, popstrzonych majową zielenią buków, trafiających się pomiędzy drzewami iglastymi.

Przy szosie pełno jagód czarnych i ciekawych, rozgałęziających się skrzypów. Czasem spotkamy



MIEJSCA ZŁĄCZENIA BIAŁKI Z CZARNĄ WISEŁKĄ

fol. W Umiński.

mieszkanke wilgotnych lasów, piękną czarną salamandrę, upstrzoną w ognisto żółte plamy, która leniwo schodzi z drogi.

Powóz jedzie pomału, bo konie z trudem idą pod górę, lepiej jest w tem miejscu zsiąść, i iść pieszo aż do myśliwskiego pałacu. Zyskujemy na tem, bo idąc, możemy lepiej napatrzeć się melancholijnej Czarnej Wisielce. Dolina ta różni się wybitnie od doliny Białki, dziko romantycznej, pełnej urwisk i skał malowniczych. Panuje tu jakiś smutek, tam zaś huczna, dzika wesołość.

Po dwugodzinnej podróży stajemy u podnóża góry Przysłupi, gdzie wśród lasów arcyksiążę zbudował sobie pałacyk myśliwski.

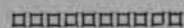
Jest to budynek skromny, ale dopasowany do otoczenia. Dokoła niego poniżej nieco usadowiły się domki gajowych. W tem miejscu rozstajemy się z końmi i powierzamy się własnym nogom.

U gajowego, który jest bardzo uprzejmy, można, ładnie poprosiwszy, dostać coś nie do zjedzenia, doskonałej wody źródlanej do picia, kawy, chleba, jajek. Najlepiej jednak wziąć zapasy ze sobą z domu i tutaj na trawie albo przed domkiem gajowego posilić się na drodze.

Powóz ma na nas czekać u wodospadów. My zaś pniemy się pod górę, ponad pałacyk myśliwski, skąd wspaniały widok na dalekie Karpaty Zachodnie z Babią górą.

(DN)

Władysław Umiński.





Stan wsi polskiej na Podkarpaciu. ¹⁾

(Ueber die Entwicklung der westgalizischen Dorfstände in der 2 Hälfte des 19 Jahrhunderts. Auf Grund der Spezialuntersuchungen im oberen Wielopolkagebiete—Kreis Ropczyce. Eine wirtschafts-und kultur-geografische Studie von Dr. phil. von Hupka).

Pod takim przydługim tytułem ukazała się po niemiecku praca uczonego polskiego, omawiająca temat doszczętnie polski — a że jest to praca wprost znakomita, więc wypada ją streścić nieco szczegółowiej.

Autor wybrał sobie jako przedmiot badań dorzecze górnego biegu Wielopolki (dopływ Wisłoki), leżące we wschodniej części Karpat Zachodnich, niedaleko od niżu Krakowsko-Sandomierskiego, lecz w całości położone już na pogórze. Jest to skrawek ziemi koło 164 km. kw., obejmujący kilkanaście wsi. Przyjmując warstwicę 200 metrów za granicę niżu, znajdziemy najwyższe miejsce w krawędzi pogórza—344 m. nad poz. morza, najniższą zaś miejscowość opisywanego skrawka ziem znajdziemy koło 200 metrów, a wieniec wyniosłości na działach wodnych z Wisłokiem i Wisłoką posiada punkty 449, 461, 532, 540 i nawet 562 metry. Dalej ku południowi pogórze to opada do 400 m. Przeciętnie wyniesienie absolutne nad poziom morza tego skrawka ziemi waha się od 350 do 400 metrów, różnice względne przekraczają 200 metrów, co nadaje wyraźny charakter górski. Lewa strona dorzecza Wielopolki (aż do 18 wieku ten potok zwano Brzeźnicą), posiada nieco wyraźniejsze postacie długich, szerokich wałów górskich, po prawej natomiast wały występują mniej wyraźnie, trzony górskie o postaciach kopulastych razem z wałami o kierunkach zmiennych odejmują powierzchni piętno jakiegokolwiek prawidłowości. Potoki boczne, źródłiskowe posiadają dość duży spadek, który w samej Wielopolce jest znacznie mniejszy. Stoki gór są łagodne i żadnych urwisk tam niema.

Szeroka dolina ściąga ku sobie ludność, i tu autor szczegółowo podkreśla zależność skupień ludzkich od postaci powierzchni i jakości gleby, a najbardziej od rozwoju siatki wodnej, co też udaje mu się z pewnym mistrzostwem (str. 11).

Cały omawiany szmat ziemi podlega silnej erozyi, która w lata dżdżyste szczególnie daje się we znaki jako erozya wsteczna, a jednocześnie i denudacyjna działalność wody występuje nieraz

bardzo silnie. Naogół krajobraz jest geologicznie dość młody o postaciach niedojrzałych. Gleba opisana przez autora wyczerpująco przedstawia ciężkie gliny słabo przepuszczalne; im wyżej, tem cieńsza warstwa zwietrzenia, na grzbietach i zboczach wynosi ledwie 30—60 centymetrów; to też po drogach koła wozów poobnażały litą skałę; oprócz glin są jeszcze wytwory zwietrzenia „spiż”, które dają nieduże kawałki ziemi pszennej. Dna dolin jakoby świadczyły o wtargnięciu odnóg lodowca północnego. Na str. 18 autor po wyczerpującej analizie dochodzi do wniosku: nie jakość gleby (naogół nadającej się do uprawy wszelkich naszym warunkom odpowiednich roślin), lecz postać powierzchni, wysokość wyniesienia nad poziom dolin i stosunki hydrograficzne są tu dla pracy człowieka czynnikami rozstrzygającymi. Czynniki klimatyczne podrzędną odgrywają rolę. Opad atmosferyczny wynosi 610—784 milimetrów, z czego 65% w ciągu sześciu miesięcy wegetacyjnych; największe deszcze w czerwcu i lipcu są uciążliwe przez niszczenie powierzchni, jak również przez nadmierną wilgotność gleby — suchsze lata są zwykle latami urodzajnymi. Wiatry spychają osiedla ludzkie z grzbietów na stoki i wytwarzają zwyczaj obsadzania domów drzewami dokoła, a szczególnie od strony wiatrów. Klimat — lądowy z dużemi wahaniami temperatury; śnieg o 2—3 tygodnie leży dłużej, niż na sąsiednim niżu; strona usłoneczniona jest dla roślinności wyraźnie korzystniejsza, to też więcej lasów zachowało się na pochyłościach „od słońca”, północnych. Najstarsze osiedla ludzkie wyłącznie się trzymały dolin o kierunku równoleżnikowym, unikając skierowanych z południa na północ. Mały widnokrąg i jednostajność nadają krajobrazowi piętno pewnego smutku.

Cała część I książki jest opracowana z niesłychanie dokładnem przygotowaniem autora: fizyograf co chwila podaje rękę rolnikowi, aby wyjaśnić warunki i sposoby zabudowania wsi w ry-sach wielkich i w szczegółach.

Najstarsze miejsca osiadłe posiadają o sobie świadectwa istnienia z XIII stulecia. Można przypuszczać, że doliny Wisłoka i Wisłoki wcześniej były zaludnione, niż Wielopolki. Ludność jest jednym ze szczepów małopolskich, niesłusznie zwanych mazurami. Osadnictwo niemieckie w XIV wieku dotknęło i Wielopolki, chociaż przeważnie pośrednio, a więc mniej przez materyał ludzki, a więcej przez społeczny ustrój wsi i jej postać zewnętrzną — dłu-



go wyciągnięte linie największych wsi mają świadczyć o wyraźnym wpływie niemieckim.

Na str. 44—47 mamy wyjątkowo wyczerpujący a przejrzysty rys życia gospodarczego wsi polskiej w wieku XVI, kiedy zmniejszanie powierzchni ziemi chłopskiej jeszcze nie odbijało się dotkliwie na losach ludności rolnej, a to skutkiem ogólnego rozwoju kulturalnego i gospodarczego. W roku 1536 ludność opisywanego zakątka miała wynosić 3350 głów. Na str. 56—57 autor doskonale przedstawia los chłopca, który od r. 1576 zaczyna się stawać poddanym szlachcica, jednakże i później nigdy do tego nie doszło, aby mógł być sprzedawany (bez ziemi), co istniało w innych krajach, naprz. w Rosji do roku 1861. W wieku XVII na wsi zjawia się żyd, jako pomocnik szlachty w gospodarstwie; w tym wieku — pominąwszy wyjątki — ogół szlachecki staje się żywiołem przeciwkulturalnym, gospodarka wraca do niektórych cech średniowiecznych. Po pierwszym rozbiórce Rzeczypospolitej chłop niewiele wygrał, bo owe osławione reformy józefińskie w istocie swej były powierzchowne; to też wszelkie rozporządzenia papierowo-kancelaryjne, dążące do poprawy stosunków, prawie wcale nie osiągały celu, a 156 dni roboczych pańszczyzny z ćwierci łąnu czyli z $7\frac{1}{2}$ morgów — było dobrodziejstwem, ale chyba dla szlachty!

Za czasów Józefa II nie uprawiają koniczyny ani ziemniaków; ilość głów w r. 1786 można ocenić na 6,000; nawet najbogatsi chłopcy nie stanowili ogniwa pośredniego między chłopami a mniej zamożną szlachtą (co się często spotykało w Europie Zach.), bo ich stan społeczny na to nie pozwalał; karczmy jeszcze nie były zbyt liczne; nastrój chłopcy był względem pana bardzo niedowierzający, co w sześćdziesiąt lat później rząd austriacki umiał wyzyskać, bo też — jak obiektywny autor twierdzi (str. 75) — „właściciel ziemski nie uczynił nic, aby swych poddanych podnieść kulturalnie, gospodarczo i społecznie”. Nędza kulturalna chłopcy była tak wielka, że nawet nie odczuwał nędzy materialnej.

Dnia 17-go kwietnia 1848 r. nastąpiło zniesienie poddaństwa, ale dopiero w ośm lat później administracja mogła to urzeczywistnić.

W roku	ludność wynosiła głów	(w tem
1869	12624	6 % żydów
1880	14,079	5,7%
1890	14,675	6,2%
1900	15,939	6,1%

Opisując stan ludności, autor twierdzi, że znaczenie żydów jako czynnika wymiany dóbr materialnych i dostarczycieli kredytu tak dalece upada, że można już mówić o odżydzeniu wsi.

Od roku 1857 do 1900¹⁾ przyrost ludności wynosi 64%, co czyni 15% na dziesięciolecie, jednakże istnieje wyraźna dążność do zmniejszenia, jak to zobaczymy, skutkiem wychodźstwa. Urodzin wypada obecnie 45—48 na 1000; nigdzie w Austrii niema tak wysokiej liczby. Przyrost rzeczywisty coraz bardziej odchyła się od naturalnego.

W latach	przyr. natur. wynosił	rzeczywisty
1869—80	14,1%	11,20%
80—90	13,2%	3,0%
90—1900	20,8%	8,4%

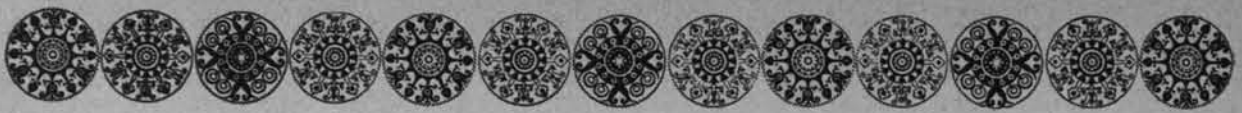
Gęstość zaludnienia wynosiła w r. 1857 — 59 na km. kw., a w r. 1900 doszła do 97 (wówczas w całym zaborze austriackim wynosiła 93, a na jego zachodzie 102). Obliczając bez miasteczka Wielopola ludność wiejską z roli żyjącą, otrzymamy 80 na km. kw. — jest to przeciętna dla okolic Beskidu i przedgórze (na wschodzie spada do 67), liczba stanowczo dowodząca przeludnienia, bo w zachodnich prowincjach Austrii na jednym km. kw. wyżywia się z rolnictwa 36, a w Niemczech i Danii 34. Jest to tem wyraźniejsze przeludnienie, że na obszarach dworskich mamy zaludnienie 10 razy słabsze. Omawiany szmat kraju w r. 1848 posiadał 1153 gospodarstwa chłopskie, a w r. 1902—2668; przez 54 lata ilość wzrosła o 131%. To rozdrobnienie w ostatnich latach postępuje szybciej, bo 10 wsi, które w r. 1902 łącznie rachowały 1837 gospodarstw, w sześć lat później już ich posiadały 1939, czyli, że liczba wzrosła o $5\frac{1}{2}\%$. Wobec dokupna ziemi przez chłopów od większej własności to zjawisko wymaga szerszego omówienia. Autor odróżnia gospodarstwa niewystarczające na utrzymanie rodziny i wystarczające; pierwsze z nich, karłowate, niżej pięciu morgów autor rozбивa na dwie gromady: — na gospodarstwa posiadające mniej od dwóch morgów, gdzie własność ziemską jest tylko pewną pomocą przy wyżywieniu, a wyrobek trześcią, i na posiadające 2—5 morgów, gdzie wyrobek jest dodatkiem. Właściwe gospodarstwo chłopskie autor uważa za typowe, jeżeli posiada 5—15 morgów, a 10—15 już oznacza pewien dobrobyt. Grupa 15—30 morgów już posiada na sprzedaż pszenicę lub żyto, a nieliczne gospodarstwa ponad 30 m. już wzorują się na folwarkach.

(CDN)

A. Sujkowski.

□□□□□□□□

¹⁾ Lata 1847—56 były nieszczęśliwe skutkiem nieurodzajów i związanych z nimi chorób epidemicznych, to też następne dziesięciolecie mogło wykazać wyjątkowo duży przyrost naturalny.



Wycieczka Oddziału Kujawskiego na Kaszuby.

Niezwykłe zaciekawienie wzbudziła wśród stowarzyszonych zapowiedziana przez Oddział Kujawski wyprawa na Pomorze polskie, to też pomimo zamiaru urządzających, aby ograniczyć liczbę uczestników do 80, w dn. 28 czerwca stawiło się we Włocławku około stu kandydatów. Oprócz miejscowych członków Towarzystwa — najliczniej, bo w 30 osób, przybyli piotrkowianie, uzyskawszy od zarządu kolei oddzielny dla siebie wagon, gdy zresztą reprezentowane były zarówno Warszawa, jak Łódź i Łowicz.

Było południe, gdy pociąg przewiózł nas przez granicę, stanowiącą tu krańce dwóch państw, — Rosyi i Prus. W Toruniu przeprawiamy się parowcem na drugą stronę Wisły, a spożywszy obiad wspólny, pobieżnie zwiedzamy: ratusz gotycki z posągiem Kopernika, dom, gdzie się urodził sławny astronom, kościół piękny, lecz niemożliwie brudny; pochyłą basztę i in. części fortyfikacji miejskich — aby ruszyć dalej — do Kościerzyny.

Od Grudziądza zaczynają się lasy, kraj tu pagórkowaty, urodzajny. Monotonność podróży w wagonie urozmaica burza, orzeźwiająca deszczem skwarne powietrze. W wagonie czwartej klasy zawieramy szybko znajomość z mieszkańcami stron tutejszych, rodakami, ciesząc się ich mową polską, upstrzoną tylko prowincjonalizmami. Mijamy K w i d z y ń z warownym w basztę kościołem, T y c h n o w y (niem. Tiefenau) z gotycką świątynią, S z t u m — i gdy słońce chyliło się ku zachodowi, oświetlając wspaniałą tęczę — przejeżdżamy po olbrzymim moście Nogat — i mijamy leżący nad nim Malborg — z posępną sylwetką krzyżackiego zamczyska. Noc była, gdy stanęliśmy u kresu dnia tego podróży, w Kościerzynie, której nazwę Niemcy starają się zmienić na dziwaczny „Berent”. Na stacyi oczekiwał nas dr. Aleksander Majkowski, jeden z najpoważniejszych dziś działaczy kaszubskich i redaktor „Gryfa”, — wnet też poprowadzono gromadę wesółych turystów do miasta, lokując ich w prywatnych mieszkaniach i hotelach.

Od samego rana dnia następnego zwiedzaliśmy miasto, gdzie na 6000 mieszkańców — trzy czwarte katolików, reszta ewangelicy i nieco żydów — słusznie też Kościerzynę nazywają „stolicą” kaszubów. Był dzień targowy, lecz żydów handlujących tu wcale nie zauwa-

żyliśmy; kontrast ten uderza w oczy, gdy porównamy ze stosunkami panującymi w Koronie, a zwłaszcza na Litwie. Najlepszym dowodem otrząśnięcia się przemysłu polskiego z pod wpływów wrogich mu Niemców i Żydów — była otwarta wówczas w Kościerzynie wystawa przemysłu i rolnictwa, którą z wielkim zaciekawieniem oglądaliśmy. Mieściła się ona w gmachu Bazaru Ludowego, gdzie też staraniem dra Majkowskiego urządzono dział ludowy, który choć skromny w rozmiarach, nie mniej przeto zgromadził ciekawe zabytki zdobnictwa kaszubskiego, wytwórczość pod tym względem czasów obecnych, wykopaliska przedhistoryczne — słowem wszystko, co tylko dotyczy cywilizacji stron tutejszych. Aby bytność naszą trwalej zaznaczyć, Oddział Piotrkowski złożył do Czytelni polskiej swoje wydawnictwa oraz zbiorek innych prac krajoznawczych. Oprócz dwóch kościołów katolickich, gdzie przysłuchiwaaliśmy się nauce katechizmu działwy miejskiej i wiejskiej, jest i kaplica przy zakładzie N. Maryi Panny. Zakład to naukowy dla kilkuset dziewcząt, stąd wychodzą nauczycielki ludowe; założony w r. 1863 staraniem prałata Prądzyńskiego, jest jedynym średnim zakładem naukowym, gdzie oficjalnie pozwolono na dwie godziny tygodniowo języka polskiego. Tego nawet Poznań nie posiada!

Po krótkiej zakąsce w izbie Bazaru, gdzie „prawo kagańcowe” niepozwoiliło nam wypowiedzieć naszym braciom kaszubom trosk i radości wzajemnych, na wniosek d-ra Majkowskiego, abyśmy poznali bliżej piękność „Szwajcaryi Kaszubskiej” — ruszamy niezwłocznie na wycieczkę wokoło jezior, gdyż słusznie o stronach kościerzynskich wyraża się poeta tutejszy, p. Fr. Sędzicki:

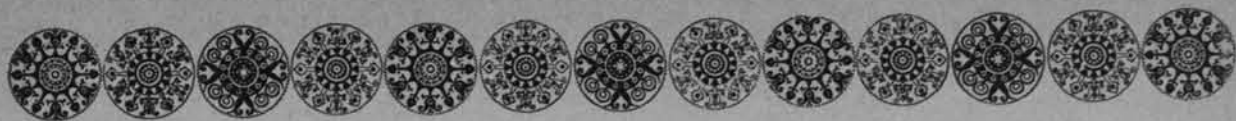
„Na źródłach twoje oparłaś stopy;
Od kości białej przyjąłś miano,
Wiankiem cię strojnych lasów przybrano.
A góry liczne twoje okopy”.

(*Dumki z kaszubskich pól*).

Aby zbliżyć się do tych jezior, podjeżdżamy o jedną stacyę, do Gołubia, skąd już pieszo pod przewodnictwem p. redaktora towarzystwo nasze pospół z inteligencją kaszubską wśród pięknego, różnobarwnego kwiecia — rozprasa się drogą ku Pojezierzu. Góry i doliny wryte przez lodowce tworzą najroz-



GRUPA UCZESTNIKÓW WYCIECZKI NA WYSTAWIE W KOŚCIERZYNIE
fot. Zygm. Majcherski.



maitsze krajobrazy — których pozazdrościć nam mogą obce ziemie. Droga okrąży jezioro Ostrzyckie, a wijąc się po falistym gruncie, daje nam widoki — to ciemnych lasów, to znów zielonych łąnów, złocistych wód jeziora lub wąskich wstęg rzeczek i ruczajów — a przy nich w gęstwinie sadów ukrytych siedzib ludzkich. Na piękności te, szczególnie barwnego w jesieni krajobrazu, zwraca nam co chwila uwagę towarzyszający wycieczce artysta — malarz, p. Maryan Mokwa, rodowity kaszuba. Daje to nam powód do zachęcania artysty, aby nie zapomniał nadesłać na urządzaną w tym roku wystawę „Krajobrazu polskiego” i swoich „motywów wiosennych ziemi kaszubskiej”, które zwracały naszą uwagę na wystawie w Kościerzynie. Zmęczeni turyści, co chwila wstępują do chat przydrożnych, wszędzie spotykani z wielką gościnnością i sercem otwar-



WIELKA WIEŚ (p. pucki)

fol. Zyg. Majcherski.

tem dla przybyszów z Polski. Gdy dalszemu pochodowi przeszkodziła burza, część towarzystwa zajęła dostarczone wozy i bryki — reszta z zasuniętymi kapturami na głowę śpieszy dalej, aż do siedziby pp. Lniskich w Brodnicy — potomków starej szlachty kaszubskiej, którzy od 500 lat trzymają się tej ziemi. Szeroko o nich rozpisuje się Niesiecki. Weszło, choć przemoknięci do suchej nitki, dotarliśmy wieczorem do Kartuz, gdzie pożegnawszy pieśnią „Sokołów” powracających do Kościerzyny kaszubów, rozeszliśmy się na zasłużony nocleg.

Laskawe na nas nieba pozwoliły nazajutrz od rana przy wypogodzonym horyzoncie obejrzeć klasztor oo. kartuzyan, w bardzo pięknej miejscowości pomiędzy dwoma jeziorami—Wielkim i Małym Grzybmem położony. Fundowany pod koniec XIV w. i nazwany „Rajem Maryi” posiada kościół gotycki, pokryty niezwyklego kształtu dachem — przypominającym wieko od trumny. Wewnątrz oprócz paru ołtarzy tryptykowych oraz ciekawych stall z XIV w. warte obejrzenia obicia „kurdybanowe” ze skóry wytłaczanej w prezbiterium. Za przewodnikiem wspinamy się ku górze zw. Śpiczastą (zapewne dawniej Łysą), o której chodzą tu gwarzy, iż na niej miewały schadzi czarownice. Tu wśród gąszczów leśnych stoją ruiny kapliczki Św. Krzyża z XVII w., a obok nich wznosi się kilka pięter wysoka wieża drewniana, skąd niezrównanie piękny widok roztacza się na całą okolicę. Z przykrością na głos trąbki przewodnika schodzimy z tych wyniosłości na stację kolejową, aby po raz ostatni uściskać dłoń sz. d-ra Majkowskiego i wyrazić mu wdzięczność naszą i uznanie za to wszystko, co zrobił dla uświadomienia kaszubów. Cześć siewcy zdrowego ziarna polskości na tę niwę kaszubską, od wieków zachwaszczaną przez niemczyznę! Wnet pociąg

uniósł nas do Oliwy, gdzie kilka godzin mamy wyznaczone na posiłek i obejrzenie klasztoru.

Miejscowość ta, leżąc nieopodal Gdańska, stanowi jakby jego przedmieście, pełne okazałych willi możnych mieszczan i kupców gdańskich. Część towarzystwa tramwajami elektrycznymi, część samochodami podążyła do słynnego opactwa cystersów; — niewielka tylko

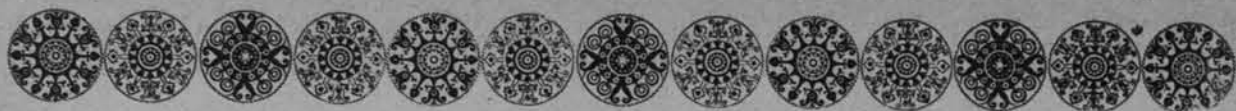
gromadka wołała przez wspaniały park pośpieszyć w tę samą stronę. Tu pośród szpalerów grabowych ukazują się w perspektywie błyszczącej w słońcu wody Bałtyku — a na nich płynące statki, tak, iż ma się złudzenie optyczne, jakoby morze zaczynało się tuż za ogrodem. Stare, rozłożyste aleje lipowe, jak wieść niesie, sadzone ręką Sobieskiego, który tu rad przebywał, wodospady szemrzące, rośliny egzotyczne otaczają stary pałac opatów, do dziś dnia zachowany w pier-

wotnym stanie. Sam kościół z XIII w., przebudowany w XVI w., otacza wysoki mur ze strzelnicami. Świątynia to niezmiernie wysoka i długa, posiada dwie niewysokie wieże frontowe, tak ściśle przystające do siebie, że robi to na widzu nieestetyczne wrażenie. Nad wielkim ołtarzem ze stiuku wyrobione obłoki zachodzące na sklepienie mają wyobrażać otwarte niebo z mnóstwem główek aniołków. Tu również w prezbiterium portrety królów polskich i książy pomorskich, a w posadce ogromna płyta z czarnego marmuru z wyrytym Gryfem — kryje grobowiec władców niegdyś Pomorza. Osobliwością kościoła są olbrzymie organy, zbudowane w połowie XVIII w. przez braciśzka zakonnego, Jana Wulfa, jedne z największych w świecie, które gdy wydają niskie tony — ziemia drży pod nogami. Organy te przybrane są w liczne ozdoby barokowe, a postacie aniołów na swych instrumentach biorą udział czynny w orkiestrze.

Wokoło kościoła otaczają krużganki gotyckie, a w nich liczne pomniki dobrodziejów klasztoru, jak np. możnej rodziny Kosów oraz sławnego historyka Reinholda Heidensteina. Z pośród olbrzymich komnat klasztornych wyróżnia się przepychem refektarz, którego śliczne sklepienia wsparte są na trzech granitowych monolitach. Tu widzimy portrety prawie wszystkich opatów oliwskich. Zwiedzamy również sławną salę, w której podpisany został w r. 1660 traktat pokoju między Janem Kazimierzem a delegatami Karola Gustawa.

Dotąd pokazują stół, na którym ów niepomyślny dla Polski akt podpisany został: oblewał go podobno łzami nasz król, bo zaiste ze zrzeczeniem się Infant i uznaniem niepodległości Prus — był to pierwszy akt rozbioru Rzeczypospolitej.

Tegoż dnia byliśmy w Sopotach (Zoppot), a nie tracąc ani chwili czasu, główną aleją z pięknymi willami ze-



szliśmy nad morze, gdzie rozsiadł się nowy „Kurhaus”. Wnet z pomostu przystani usiedliśmy na łodzie, aby ze spokojnych nurtów zatoki przypatrzeć się panoramie wybrzeża, rojącego się publicznością kąpielową, a w dali rysującym się na nieboskłonnie gmachom Gdańska.

Wieczorem o 9 wyruszyliśmy dalej do Pucka, gdzie mimo spóźnionej pory oczekiwał na stacyi kolejowej dr. Żynda, z krwi i kości rodowity kaszuba. Z neo-cenioną w takich razach sprężystością wnet porozdawał nam kartki z adresami noclegów, a czekający na nas mieszkańcy odprowadzili nas na zasłużony spoczynek.

Skoro świt niez mordowani nasi towarzysze już na łodzi krążyli po zatoce lub kąpali się w morzu. Z powodu niedzieli, o 7-ej rano w miejscowym krzyżackim niegdyś kościele — odprawił mszę św. na intencję dalszej wycieczki towarzyszący nam ks. Maryański, profesor seminarium dyecezyjnego z Płocka. Poczem dwoma motorowymi statkami popłynęliśmy do przeciwległego Puckowi Swarzewa. Z wysokości pokładu ogarnąć mogłem okiem całość spokojnej zatoki, gdzie niegdyś nasza flota wojenna miała swoją przystań. Napróżno jednak szukamy choćby okopów ziemnych owej twierdzy, której z takim bohaterstwem bronili wojewoda Wejher przeciwko wdzierającym się szwedom.

Nawprost kościoła, panującego nad wybrzeżem szwarzewskim, zatrzymują się statki — i na łodziach następuje arcykomiczna przeprawa na ląd. I łódki bowiem nie mogą dotrzeć do miążskiego wybrzeża, następuje przeto przenoszenie na plecach lub ręką przewoźników, czemu wtóruje homeryczny śmiech widzów i uczestników.

Niedługo trwa porządkowanie zmoczonych lub podkasanych kostiumów, gdyż trąbka przewodnika nawołuje do szeregów. Ruszamy dalej pieszo wybrzeżem, obserwując miejscami torfowiska lub dla urozmaicenia podróży wspinając się na wzgórkę, aby sięgnąć okiem w dal, kędy na drugim brzegu półwyspu, który w poprzek przechodzimy, dojrzeć można pełne morze Bałtyckie z unoszącymi się na nim jak białe ptaki — żagłowcami.

Było południe, gdy mijaliśmy opłotki, a raczej sieciami ogrodzone poletka Wielkiej Wsi rybackiej. W poważnym skupieniu nasza gromada synów i cór Polski z pieśnią na ustach postępowała ku krańcom swojej rozległej ojczyzny.

Witano nas z bratnim uczuciem w chacie gburkiej Płomienia — lecz nie czas na odpoczynek, gdyśmy nie ujrzeli jeszcze naszego Bałtyku: — słyszymy tylko pomruk jego fal, jakby szum karpackich wodospadów lub powiew lasów Litwy.

Jeszcze kilkaset kroków za wsią, i mijamy lasek sosnowy — a zdumionym oczom naszym okazuje się w całym majestacie Bałtyk.

O piaszczyste wybrzeża biją spiętrzone fale — jedne za drugimi, bez końca. Wzburzony grzbiet morza — to bliższy przystępny szmaragd, to biała pryska pianą. Niezmierzone przestrzenie wód mają dla nas urok czarowny, tem większy, że to morze polskie! To też jak niegdyś rycerze Czarnieckiego, biegniemy ku falom tym, by dłońmi zaczerpnąć, spróbować ich wód słonych.

I bylibyśmy długo, prawie bez końca przykuci do tych pbrzeży, gdyby nie głos przewodnika, nawołujący

do powrotu na wieś, gdzie oczekują na nas gościnni rybacy. Rozpraszamy się przeto po chatach, gdzie na stołach dymią smażone flondry, nęcą marynaty z węgorzy i t.p. przysmaki morskie. Mnie wraz z kilkunastu towarzyszymi wypadło szczęśliwie biesiadować u zamożnego gburą Potrykusa. Szczęśliwie mówię, gdyż spotkałem tu p. Włodzimierza Nałęcza, znanego artystę-malarza, którego studia morskie podziwiałem nieraz na wystawach w Warszawie i Krakowie. Bawił on tu już z drugim powrotem, a zachwycony pbrzeżem kaszubskim porzucił fiordy skandynawskie i widoki Krymu, aby tu wśród zacisznej wioski rybackiej mistrzowskim pędzlem odtwarzać piękności polskiego brzegu. Oglądaliśmy prześliczne studia z Rozewia, z tych miejsc półwyspu Helu, gdzie najczęściej lądowali królowie nasi, gdzie też nieraz flota nasza zwyciężko walczyła z nieprzyjaciółmi. Urok tych wspomnień tak żywo przemawia do duszy artysty, iż obiera sobie do swych obrazów morskich tak ciekawe a tak mało, niestety, znane tematy z naszych dziejów minionych.

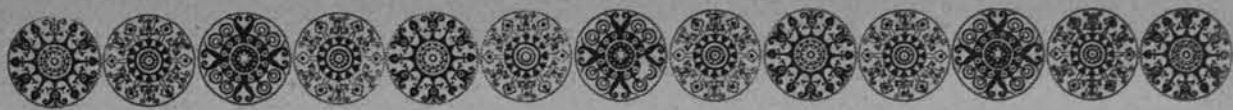
Nim zaprzęgną konie do wozów, biegniemy raz jeszcze nad brzeg morza, by pobując na łodziach rybackich, nacieszyć się widokiem, który na życie całe utkwi w pamięci, zebrać wiązkę ostów i traw nadmorskich — pamięćkę naszej tu bytności. Czas jednak wsiadać, ostatnie więc uściśnienie pracowitych dłoni gospodarzy — i... „Bywajcie zdrowi! Przybывajcie do nas, kędy was całym sercem powitamy!” Potoczyły się wozy, głuźąc okrzyk pożegnania dzielnego ludu, co stoi niby mur graniczny — na rubieżach Polski.

Mnie dostało się miejsce w wygodnym wolancie obok jego właściciela, p. Emila Płomienia, który osobiście nas odwozi. A dzielne ma konie, może z rasy owych bachmatów tureckich, które jako zdobycz wojenną przyprowadzić mieli ze sobą niegdyś kaszubi — luzacy, towarzyszący królowi Sobieskiemu pod Wiedną.

Tak mi opowiadał mój woźnica, gospodarz — a że dzielne miał rumaki, wyprzedziliśmy wkrótce cały korowód wozów i pierwsi stanęliśmy na stacyi kolejowej w Pucku.

Powrotna podróż wypadła nam za dnia, mogliśmy przeto zwracać baczną uwagę na okolicę niezmiernie ininteresującą, gdyż tor kolejowy przebiega nieopodal morza. Szybko, niepostrzeżenie minęły owe dwie godziny, dzielące nas od Gdańska.

Tu oczekiwali na nas przedstawiciele kolonii polskiej z dr. Kręckim na czele, i wnet zajęli się rozmieszczeniem po hotelach turystów. Nie czas jednak wypoczywać, gdy według programu wycieczki, nazajutrz o 8 rano mamy wyjechać z Gdańska. Rozbici przeto na parę gromadek, oglądamy stary gród portowy nim mrok wieczorny zapadnie. Wieczorem przy szklance wina opowiadają nam rodacy o ciężkiej doli naszych braci w zniemczonym mieście. Szczególniej biedacy, przybyli tu z Królestwa za chlebem, narażeni są na wszelkie szkany ze strony naszych wrogów. Odmawiają im wprost dachu nad głową lub wyzyskują niemiłosiernie. Wynajęto wprawdzie dla nich szope, lecz ta nie zabezpiecza od niewygód — zbierane są przeto składki na t. zw. „Dom Polski”. Myśl ta podobała się towarzyszący nam niezmiernie,



wnet posypały się datki — tak, iż około stu marek „od krajoznawców” powiększyło fundusz budowy.

Zarawszy nocy, dzielni nasi a niestrudzeni turyści już o 5 rano krążą po Gdańsku, a wyrobiwszy sobie zawczasu pozwolenie i zamówiwszy przewodników, skoro świt oglądają ciekawe zaułki starego miasta, zwiedzają ratusz, kościół Panny Maryi, giełdę (Artushof), a nawet na parowcu zapuszczają się do portu wojennego, obejrząc od strony morza Gdańsk i przypatrzeć się stojącym w przystani morskiej okrętom.

Przed odejściem pociągu ze wszystkich ulic prowadzących do centralnego dworca kolejowego nadciągają gromadki turystów, wyróżniających się wśród tłumu znakami Towarzystwa Krajoznawczego. Gorączkowo zakupują oni albumy, karty pocztowe z widokami i t. p. pamiątki pobytu w Gdańsku. Trzy sąsiednie wagony zajmuje wycieczka — ruszamy ku Malbörgowi.

Według wskazówek programu tylko na parę godzin zatrzymujemy się w tem gnieździe żmij, wychodowanych na łonie gościnnej Polski. Spieszmy na zamek, a zdala wita nas olbrzymi w rozmiarach swoich, a niezwykły w wykonaniu mozaikowem posąg Najśw. Panny, od XIV wieku z zewnętrznej ściany kościoła spoglądający groźnie na swój „Marienburg”. To nie wizerunek łaskawej, dobrotliwej a pełnej majestatu Królowej Korony Polskiej w obrazie częstochowskim!

Wstępujących w bramy zamczyska nie serce wiodło, a ciekawość, jak to wygląda ta kryjówka krzyżacka, dominująca nad całymi Żuławami, gdzie rezydowali wielcy mistrzowie, gdzie ważyły się nieraz losy Prus całych, a knuły zdradzieckie zamiary względem zwierzchniczej Polski. Zbudowany na wzór pałacu dożów w Wenecyi, gdzie zakon przed przybyciem do nas miał swoją siedzibę, po ostatniej restauracyi odznacza się niebywałym przepychem; dosyć powiedzieć, że rozmiarami swymi przenosi sześć razy zamek na Wawelu, większy jest niż rezydencje cesarskie w Wiedniu lub w Berlinie. Przebiegamy liczne jego komnaty, a szczególnie nas zajmuje sala audyencyonalna wielkich mistrzów, wsparta na jednym filarze, gdzie nad kominem tkwi owa sławna kula działowa, wymierzona z rozkazu Jagielly, aby burząc filar, walącemi się sklepieniami przygniotła starszyznę

krzyżacką. Oglądamy refektarz zakonny ze strzelistymi lukami gotyckimi, gdzie przy biesiadnym stole może Konrad Wallenrod knuł zdradzieckie plany — wreszcie zstępujemy do podziemi, gdzie groby wielkich mistrzów, i w pomroce napróżno szukamy głazu, kryjącego zwłoki Ulryka von Jungingen — ofiary Grunwaldu.

Ostatni był to etap w wycieczce naszej na Pomorze Polskie. Wracamy przez Aleksandrów w swoje strony. We Włocławku, gdzie paniom naszym rozdano białe lilie, następuje pożegnanie z sympatycznymi członkami Oddziału Kujawskiego, serdeczne, szczere podziękowania pp. Olszakowskiemu i Apanowiczowi za zorganizowanie tej wycieczki, a p. Moczarskiemu za świetne jej przeprowadzenie. W dalszej drodze co chwila ubywają nam towarzysze, reszta skupia się w wagonie piotrkowian, którzy nad ranem dopiero, dnia 7 lipca, stanęli w trybunalskim grodzie.

Jakież plon wycieczki—zapytacie? O bardzo obfity. Poznaliśmy braci, o których istnieniu niejednen z nas ani słyszał, wleliśmy w nich otuchę, że pomimo wszelkie napy wrogów — nie wszystko jest jeszcze stracone. Patrząc na tych ludzi, borykających się od wieków z zalewem germańskim, na ich pracę mozolną nad rozbudzeniem poczucia narodowego wśród śpiących, na wyniki ich pracy ekonomicznej, której tak świetny dowód złożyli na wystawie w Kościerzynie, — nauczyliśmy się sami niejednego, a co najważniejsza, stwierdziliśmy fakt, że naród, mający takie siły żywotne zginąć nie może. Sądzę wreszcie, że i ten lud kaszubski, widząc nas wpośród siebie, odczuł w sercach naszych gorące dla siebie uczucia, jedyny dar, który dać im możemy. Może ta pierwsza wycieczka krajoznawcza na Kaszuby będzie miała ten sam skutek, co pierwsza wyprawa Chłubińskiego pomiędzy górali, może skieruje ona drogi turystyczne, może wytworzy letniska kuracyjne wśród bratnich nam kaszubów; naówczas poniesiemy im nie tylko nasze fundusze, lecz stokroć coś ważniejszego — bo ducha cywilizacyi bratniej. Myśl ta, że nie są osamotnieni, że współczują im miliony braci, doda im otuchy na dalsze — da Bóg — zwycięskie boje.

Michał Rawita-Witanowski.





Nowe książki.

Warcholik Stanisław. *Niepołomice — Kraków 1911*
r. str. 56.

Wielkie umiłowanie ziemi krakowskiej, wielkie odczucie jej nieporównanego uroku cechuje książeczkę pana Warcholika, poświęconą Niepołomicom. Turyści, odwiedzający puszcze niepołomską, i letnicy z kraju wdzięczni będą pewnie panu Warcholikowi za to dziełko, w którym zebrał dużo najróżnorodniejszych wiadomości o prastarej rezydencji monarchów polskich. Najważniejszą część dziełka zajmuje, jeśli tak rzecz można, historia anegdotyczna Niepołomic, ale jest tam nieco wiadomości i o dziejach zamku niepołomskiego i o położeniu ludności w dawnym niepołomskim starostwie. Wszystko to ułożone jest dosyć chaotycznie, żaden dział nie jest opracowany mniej lub więcej wyczerpująco. Szkoda też, że autor nie podaje nigdy, gdzie znajdował źródła rękopiśmienne do swej pracy; w ten sposób mimowoli nasuwa się wątpliwość, czy wyzyskał on nawet te źródła, po które trzeba było tylko ręką sięgnąć, a mianowicie liczny zbiór inwentarzy niepołomskich i rachunków z przebudowy zamku, znajdujący się w archiwum Popiela w Krakowie. Źródła te pozwoliłyby panu Warcholikowi wzbogacić przedewszystkiem swe wiadomości o dziejach ludności starostwa niepołomskiego w wieku XVIII-ym. Przedewszystkiem cenny jest pod tym względem inwentarz z 1713 r.

Wielka wdzięczność należy się panu Warcholikowi za ozdobienie swego dziełka bardzo ładnymi ilustracjami, które zachęcić powinny liczne rzesze turystów do zwiedzenia przepysznego zamku w Niepołomicach.

Dr. Ig. Baranowski.

Szelągowski Adam. *Kwestya ruska w świetle historyi. Warszawa 1911, str. 141.*

Projektodawcy odłączenia tak zwanej „Chełmszczyzny” od Królestwa Polskiego, starają się ją przedstawić jako terytorium od wieków rosyjskie, które długo było widownią walk eksterminacyjnych z agresywnym żywiołem polskim. Otóż te tezy polityków nacjonalistycznych rosyjskich, poparte wywodami różnych, mniej lub więcej „kazionnych” historyków, postanowił prof. Szelągowski poddać gruntownej krytyce naukowej.

Do dzieła swego zabrał się uczony lwowski, zaopatrzywszy się w zimną krew i w cały arsenał wiadomości archeologicznych i historycznych i doszedł do rezultatów nadzwyczaj charakterystycznych: oto okazuje się, że w ciągu lat tysiąca na terytorium spornem dzisiaj-

szej gubernii lubelskiej i siedleckiej granice etnograficzne nie uległy zmianie. Dane historyczne, jakie mamy o tym terenie z wieków XI—XIII, pokrywają się prawie całkowicie z danymi statystycznymi czasów dzisiejszych. „Ta zgodność danych statystycznych”, pisze dr. Szelągowski w zakończeniu swej cennej pracy, „jest chyba potwierdzeniem nie walk historycznych między dwoma żywiołami, pochłaniania i pożerania się ich wzajemnego, lecz zgodnej pracy na polu osadnictwa”.

Niewątpliwie wywody pr. Szelągowskiego nie przekonają naszych przeciwników, ale on nawet na to i nie liczy: chodzi mu o to, byśmy sami umieli sobie zdać sprawę z wartości argumentów strony przeciwnej, byśmy sami zrozumieli, jaki jest istotny stan rzeczy. Dodać jeszcze należy, że w „Kwestyi Ruskiej” uczony lwowski dotknął całego szeregu spraw, mających pierwszorzędne znaczenie dla dziejów osadnictwa polskiego i geografii historycznej. Tak np. poparł on silnymi dowodami hipotezę o istnieniu w czasach odległych plemiennej i geograficznej łączności pomiędzy Mazowszem i Nadbużem. Całe Łukowskie, jak to już zresztą przypuszczał i prof. Podkański, miało wchodzić w sferę kolonizacji mazurskiej, dopiero ku południowi obwodu lubelskiego osadnictwo polskie na prawym brzegu Wisły pomiędzy Chodlem a Sanną łączyło się z osadnictwem małopolskiem idącym od górnego biegu Wisły.

Dzieło pr. Szelągowskiego, jakkolwiek stanowi odbitkę z wydawnictwa peryodycznego („Przeglądu Narodowego”) nie należy do dzieł popularnych, ale, powtarzamy, wszystkim zajmującym się zawodowo geografią historyczną Polski odda wielkie usługi.

Dr. Ig. Baranowski.

□□□□□□□□

Kronika krajoznawcza.

Jeden z rolników osady Wolborz z gubernii piotrkowskiej wykopał na swem polu olbrzymich rozmiarów szabłę i zaniósł ją do kowala w celu przerobienia na kosę. Uratował ją pisarz gminy Bogusławic, do której należy osada Wolborz, p. Marcin Biernacki, który zaopiekował się cenną pamiątką i postanowił zwrócić się do któregoś z muzeów o umieszczenie w niem starożytnej szabli.

Na szabli są ślady napisów, lecz rdza zniszczyła je o tyle, że są nieczytelne. Przypuszczać można, iż jest to zabytek z 14 lub 15 wieku.

TREŚĆ: S. Matusiak.—Soboty i sobótki.—Bolesław Ślaski.—Pomniki Warszawskie (z 2 ryc.); Władysław Umiński.—U źródeł Wisły; (z 4 ryc.); A. Sujkowski.—Stan wsi polskiej na Podkarpaciu; Michał Rawita-Witanowski.—Wycieczka Oddziału Kujawskiego; (z 2 ryc.)—Nowe książki.—Kronika krajoznawcza.—Poza tekstem. Z naszych krajozrazów, 32. Bagno Poleskie (pow. zwiahelski).

Winięty tytułową i ozdoby w tekście rysował Mikołaj Wisznicki.—Odbito w tłoczni Piotra Laskanera.—Składał i łącał Edward Gzik.—Odbijał na maszynie Aleksander Grzegolewski.—Kłisze wykonano w zakładzie B. Wierzbickiego i S-ki.—Papier krajowy z fabryki A. Moesa w Pilicy.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć